

A jeżeli nie, znajdę już sposób, żeby owoc zebrać z tego ziarna. Zobaczymy.

Księżyc świecił tej nocy; to zmartwiło Sweetwatera. Krążąc po podwórku koło stajni, spodziewał się, że lada chwila otworzy się okno alkowy, a w ślad za tem, że posłyszysz głos młodego Cumberlanda, nakazujący mu wynosić się. Nic takiego jednak nie zaszło. Czuwający samotnik, którego postać widział poza szybą, siedział bez ruchu, zakrywając rękoma twarz; czy jednak spał, czy też tylko rozmyślał posepnie, tego nie można było wiedzieć.

Cały dom zresztą przedstawiał obraz tego samego bolesnego opuszczenia. Świeciło się w kuchni, świeciło się też w pokoju służby na górze, ale nigdzie nie słychać było głosu ani śmiechu. Ludzie mówili szeptem, a jeżeli przypadkiem postać jakaś przesunęła się za oknami, przechodziła szybko, jakby wystraszona.

Nie lepiej w stajni. Zadok kupił wieczorną gazetę i pocieszał się czytaniem. Sweetwater spróbował nawiązać gawędę, ale spotkał się z krótką odprawą. Stangret nie mógł zapomnieć zajścia przed pogrzebem i nic nie mogło rozchmurzyć starego sługi, nawet kufel piwa, o który detektyw obiecywał się postarać.

Niebawem Sweetwater przyszedł do przekonania, że już dalej roboty swej tej nocy nie posunie naprzód, to też postanowił odejść. Wpierw jednakże należało się upewnić co do jednej rzeczy. Czy było inne wyjście z tej posiadłości, czy tylko przez główną drogę zajazdową?

Zdawało mu się, że błądząc tak, dojrzał gdzieś na samym tyle coś, jakby zarys drzwi w wysokim ceglonym murze. Trzeba by się dowiedzieć, dokąd te drzwi prowadzą. Przesuwając się więc pod osłoną cienia domu, a potem w cieniu stajni, doszedł na koniec do muru i przekonał się, że były w tym murze drzwi. Widział je dokładnie z cieniściego miejsca, w którym się ukrywał. Księżyc oświecał je jasno, nawet kształt i wielkość zamku widzieli się wyraźnie. Radby był spróbować tego zamku, ale musiałby w tym celu przejść dużą przestrzeń, oświetloną księżycem, a lękał się ściągnąć na siebie uwagi przez zbytek ciekawości.

Ale właściwie któż go o tej godzinie zobaczy? Mr. Cumberland nie ruszał się z miejsca, dziewczęta były na górze, Zadok siedział nad swoją gazetą, a lokaj drzemał z fajeczką w gębie w pokoju swym nad stajnią. Sweetwater właśnie szedł stamtąd, więc wiedział o tem.

Spokojne podwórko, a te zamknięte drzwi tylko kilka metrów dalej! Sweetwater powziął decyzję. Podeszedł, skradając się i położył rękę na klamce ponad zamkiem. Drzwi nie były na klucz zamknięte i ustąpiły, gdy je Sweetwater lekko pchnął. Przed nim otwierała się drzewami wysadzona aleja, prowadząca, jak się zdawało, do jednej z miejskich ulic. Chciał się właśnie przekonać, czy tak jest w istocie, gdy nagle posłyszał kroki za sobą i ujrzał ciężką postać stangreta, idącego z kluczem w ręku.

Zadok zazwyczaj łagodnego był usposobienia i spokojny człowiek, ale ciężko kosztował go ten dzień i był też już u granic cierpliwości.

— Ach, cóż to za wścibski! — mruknął. — Czegoż pan tu szuka? Nie dosyć panu było obejrzeć dom? Pójdź pan! Muszę te drzwi zamknąć. To mój obowiązek, przed pójściem na spoczynek.

Sweetwater przybrał minę niewiniątka.

— A ja sobie właśnie tedy poszedłem. Myślałem, że to krótsza droga do miasta. Czy tak nie jest?

— I tak i nie — mruknął tamten. — W każdym razie to nie jest pańska droga tymczasem. To prywatna własność, proszę pana. Ta aleja, którą pan widzi, należy do naszych sąsiadów. Nikt tedy nie przechodzi, tylko ja i...

Przerwał w porę, odetchnąwszy niechętnie, może skutkiem zmęczenia, a może przez tkwiący w nim instynkt lojalności, najtrudniejszą dla detektywa przeszkodę.

— I pan Ranelagh, chcieliście zapewne powiedzieć? — lekko dokończył Sweetwater.

Nie było odpowiedzi. Stangret poprostu zamknął drzwi i klucz schował do kieszeni.

Sweetwater już go nie zatrzymywał. Co więcej, już go nie pytał, choć świerbił go język, żeby się dowiedzieć, gdzie się na noc ten klucz chowa i czy był na swoim miejscu owego wieczora przed zbrodnią. Pomyślał sobie, że i tak zaszedł dosyć daleko. Jeszcze krok, a gotów pobudzić podejrzliwość tego człowieka, gotów zrobić sobie zeń nieprzyjaciela. Jednakowoż pozostał w cieniu tak długo, aż się przekonał, że stangret zabrał klucz ze sobą do stajni, gdzie go zapewne na noc miał zatrzymać.

Było już po dziesiątej, gdy Sweetwater wszedł znowu do domu, chcąc się pożegnać z Hexfordem. Znalazł go, pilnującego na górnej sieni, na dole czuwał Clarke.

Sweetwater zamienił słów kilka z Hexfordem.

— Jaki cel mają te drzwiczki w murze za stajnią?

— Łączą tę posesję z posesją Fultonów. Fultonowie mieszkają na Hnsted Street.

— Czy te dwie rodziny się znają?

— Bardzo dobrze. Mr. Cumberland durzy się w tej tam pannie. Była dziś na pogrzebie. Zemdlął wtedy, gdy... już wiecie kiedy.



Chodźmy stąd — szepnęła — boję się tego człowieka.

— Domyślam się. Boże! Co za zawikłania! Czy wy sądzicie, że jakakolwiek kobieta może się zakochać w nim?

Hexford wzruszył ramionami. Różne już rzeczy widywał na świecie...

— Więc to on z tych drzwi korzysta? — zapytał Sweetwater po chwili.

— Prawdopodobnie.

— I korzystał z nich owej nocy?

— U niego nie był, to wiem.

— Dokądże poszedł?

— Tego nie możemy dojść. Zobaczono go dopiero na Garden-Street, gdy wracał do domu po całonocnej pijatyce. Ogromnie wiele pił. Gdy go pytano, skąd brał trunki, mruknął coś o szynku; ale w żadnym z lokali, do których zazwyczaj uczęszcza, nie widziano go tej nocy. Przepytywałem we wszystkich i w różnych innych. Naprawdę.

— Te drzwi przypuszczalnie zamyka się na noc. Zadok powiada, że to należy do niego. Czy były zamknięte owej nocy także?

— Nie wiem tego. Może sędzia to wie. Jak widziecie, badanie szło zrazu w tak przeciwnym kierunku, że na taką drobnostkę nie zwrócono uwagi.

Sweetwater wstrzymał się od odpowiedzi i powracając do kwestyi szynków, zdobył garść odno-

śnych do nich informacji. Następnie zamyślony zeszedł na dół i tu zetknął się z Heleną, gaszącą właśnie światło w frontowej sieni.

— Dobranoc! — rzucił w przejściu.

— Dobranoc, panie Sweetwater!

Było w jej głosie coś, co go skłoniło, że przystanął i obejrzał się. Weszła do biblioteki i gasiła tam lampę. Przystanął więc na chwilę i westchnął lekko. A potem poszedł ku drzwiom, znowu przystanął i znowu się obejrzał.

Dziewczyna stała na progu i niespokojnie śledziła go wzrokiem, to zaciskając palce, to poruszając rękoma w sposób, zdradzający niezdeterminowanie.

Sweetwater poczuł radosne bicie serca.

Zawrócił powoli, stanął przed nią i spojrzał jej prosto w oczy.

— Dobranoc — powtórzył ze szczególniejszym naciskiem.

— Dobranoc — odpowiedziała, równie znacząco.

Zaraz jednakże zaczęła mówić szybko, z przejęciem:

— Nie mogę spać — mówiła. — Ja nigdy spać

nie mogę, ile razy nie jestem pewna, jak powinnam postąpić. Mr. Ranelagh, to człowiek skrzywdzony... Niech się pan pyta, niech się pan dowie, co się tu mówiło i co się tu działo podczas ich ostatniego obiadu. Ja panu powiem, dzieć nie umiem. Nie słuchałam, ani też nie widziałam, co się działo, ale stało się coś niezwykłego. Trzy stłuczone kieliszki leżały na obrusie, gdy po obiedzie weszła zbierać od stołu. Słyszałam, jak brzękły, padając i tłukąc się, ale nic nikomu nie powiedziałam. I odtąd też nic nie mówiłam; ale ja wiem, że się kłócili i że Mr. Ranelagh do tej kłótni nie należał. gdyż jedynie jego kieliszek był cały. Czy ja źle robię, że panu to mówię? Nie mówiłabym, gdyby... gdyby mi nie chodziło o pana Ranelagh. On względem Miss Cumberland nie postąpił ładnie, ale nie zasługuje na uwięzienie; i to samo powiedziałaby panu Miss Karmela, gdyby wiedziała, co się stało i gdyby mogła mówić. Ona go kochała i... ale już dosyć powiedziały — zapewniła wzruszona dziewczyna, gdy Sweetwater się ku niej ciekawie pochylił. — Więcej nawet przed księdzem nie mogłabym powiedzieć. Dobranoc panu!

I poszła.

Sweetwater zawahał się przez chwilę i wreszcie poszedł ku bocznejmu wyjściu i tamtędy wyszedł na ulicę. Obejrzał się jeszcze raz na ciemny już teraz dom z nowym zaciekawieniem i pełen nowych wątpliwości. I znowu swoim zwyczajem zaczął do siebie gadać: „Tak, tak, nie wiemy ani części tego, co się działo w obrębie tych czterech ścian przez ostatni miesiąc. Ale jednego dojść muszę; muszę się dowiedzieć, gdzie ten niedźnik przebywał pomiędzy obiadem a tym swoim powrotem następnego dnia w południe. Hexfordowi się to nie udało... Zobaczymy teraz, co obcy człowiek potrafi!

XVI.

CUTHBERTH ROAD Nr. 62.

Szedł ku południowi najlepiej oświetloną i najpiękniejszą ulicą miasta, ale oczyma szukał przerwy w ogrodzeniach niezmiernie długiego rzędu sąsiadujących ze sobą posiadłości. Dotarłszy nareszcie do pierwszego narożnika, zakręcił i wszedł w ulicę Hnsted-Street, wzdłuż której sunął przyspieszonym krokiem i coraz już pewniejszy drogi.

Znalazł się wkrótce u stóp pagórka, gdzie ulica skręcając, wprowadziła go odrazu w gęsto zamieszkałą dzielnicę. Szedł dalej, aż dotarł do środka miasta i okolicy, rojącej się od szynków, winiarni i innych hotelowych lokali. Tu przyspieszył kroku i spojrzał na notatkę, którą wygotował, rozmawiając z Hexfordem.

— Dużo będzie do roboty — pomyślał, markotny, że to już tak późno. — Ale nie potrzebuję przecież koniecznie kończyć dziś wieczór. A zawsze przecież mogę zacząć. A więc dalej!

(Dalszy ciąg nastąpi).